1846. Nr 27. ROK 5.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Treść przedmiotów: Niektóre myśli o korzyściach spływających na dobro ogólne, z uproszczania i upowszechniania nauk, powzięte z powodu wyjścia Karty Klimatologicznéj Warszawy, ułożonéj i po raz trzeci wydanéj przez Prof. Jastrzębowskiego. — Ocena Rozpraw o języku polskim i o jego gramatykach, tudzież Grammatyki języka polskiego, przez P. Jana Nepomucena Deszkiewicza napisanych. — Poezya: Rozsiewca, p. K.— Kronika piśmiennicza polska: Pamiętniki Nieznajomego, przez J. Kraszewskiego. — Nowości.

ROZSIEWCA.

(PODOBIEŃSTWO.)

—

Wyszedł rozsiewca i siał pełną miarą
Nasienia zdrowe z nadzieją i wiarą —
A jedno ziarno na opokę padło,
Kędy nie mogło zapuścić korzenia:
Więc skwar je spalił i ptastwo wyjadło.
Pożal się Boże pracy i nasienia!
A drugie padło na niesprawną rolę,
Zrazu ją bujnym umaiło listkiem,
Lecz razem zeszły chwasty i kąkole
I bezowocnie zginęło ze wszystkiém.—
A trzecie padło na grunt pożądany,
Wdzięczny i trudów rolnika pamiętny,
I tam wydało plon oczekiwany:
Jedno trzydziestny, drugie sześćdziesiętny—

O bracia moi! jak ziarno rozsiewcy
W rolę serc waszych pada słowo piewcy—
Lecz jedne serca twarde jak opoka,
Nie zejdzie na nich żadna myśl głęboka,
Żadne rodzajne słowo się nie wciśnie,
Żadne uczucie kiełkiem nie zabłyśnie;
Najświętsze ziarno po nich się ześliźnie
Jak na opoce albo na mieliznie —
Drugie,—słów życia słuchają z ochotą,
Z początku wróżą korzyść szczerozłotą:
Biedny rozsiewco! nie ciesz się nadzieją,
Tu słowa twoje nigdy nie dojrzeją—
W godzinie plonu wszystko w nich przygłuszy
Chwast samolubstwa i małości duszy!—
Lecz nie rozpaczaj—bo są serca prawe
Co ziarno twoje przyjmą aż do głębi,
Tam żadne chwasty nie dojdą plugawe,
Skwar nie wypali i mróz nie wyziębi—
Wiesz gdzie ich szukać?—a więc pracuj śmiało,
Trzeba je mnożyć—ach! bo tak ich mało!

NIEKTÓRE MYŚLI

O korzyściach spływajacych na dobro ogólne, z uproszczania i upowszechniania nauk, powzięte z powodu wyjścia Karty Klimatologicznej Warszawy. *)

Z wyrobami umysłowémi tak się niemal dzieje w ogólnym postępie ich doskonalenia się, jak ze zwyazajnémi wyrobami naszych sił fizycznych, to jest, jak te ostatnie wyroby wiele muszą doznać zmian, przeistoczeń, uproszczeń i prawie zawsze znacznego uszczuplenia swojéj surowéj materji, z któréj początkowo powstały, nim się staną tém, czém być powinny: tak toż samo dzieje się i z utworami naszego umysłu: to jest i one także są w początkach swego zjawienia się, nieokrzesane, zawiłe, niedostępne i odstraszające swoją zbyteczną obszernością; a potém dopiero nabywają zwolna właściwéj sobie prostoty i jasności. I przez to tylko stają się odpowiednemi swemu przeznaczeniu, jakiém jest właśnie—oświecać ogół rodzaju ludzkiego i obudzać w nim powoli zamiłowanie dokładnych i pożytecznych wiadomości.

Za przykład tego dwojakiego rodzaju wyrobów, niech nam posłuży z jednéj strony surowa ruda żelazna—wydobyta dopiéro z kopalni i oczyszczona najprzód z grubszych swoich części ziemistych, a potém następnie: przepalona pierwszy raz w ogniu, przetopiona na surowiec, przekuta na żelazo, przerobiona na stal i nareszcie przetworzo-

*) Umieszczając ten artykuł, udzielony Red. przez jednego z naturalistów polskich, uważamy za powinność naszę dodać tu, iż uczony doktor Tomicki, układał Zmianospis meteorologiczny w Chełmie od r. 1814 aż do dni obecnych; również Jmć ks. F. F. Szumborski biskup zapisywał swoje dostrzeżenia klimatologiczne przez lat 50. Ważne to są szczegóły dla przyszłych pracowników.

na na narzędzia służące do użycia bezpośredniego; z drugiéj zaś strony, to jest, co do płodów umysłowych, niech nam wolno będzie wziąć za podobny przykład: zwyczajne nauki i umiejętności, które, jak wiadomo, prawie wszystkie, w początkach swego istnienia, tak są obszernémi, że każda z nich (a raczéj zbiór potrzebnych do jéj utworzenia materjałów, jaki np. stanowią: co do historyi, kroniki historyczne, a co do fizyki, pojedyncze rozprawy i doświadczenia fizyczne), zajmuje wiele obszernych woluminów. Potem z tych woluminów, z tych wielotomowych niedobranych, niepołączonych i nieporządnie nagromadzonych materjałów, powstają, jakimkolwiek zalecające się układem, ale jeszcze niezmiernie brzemienne dzieła, znane pod imieniem *encyklopedyj*, *dykcijonarzów powszechnych*, *traktatów*, *kursów* (enciclopedies, dictionaires universels, traités, cours etc.). Następnie gdy autorowie tych dzieł, albo téż, co się częściéj dzieje, ich uczniowie, widzą iż mało one, z przyczyny swego ogromu, znajdują dla siebie czytelników, nawet pomiędzy uczonymi, a tém samém nie wiele wywierają wpływu na ogólny postęp oświaty, starają się wydawać je w skróceniach, pod imieniem *krótkich zbiorów*, *zasad*, *początków*, (precis, abrégé, elemens etc.). W końcu gdy i te, niby to skrócone, ale jeszcze dwu lub kilkotomowe naukowe zbiory, nie tyle bywają czytane, ile wymaga ważność przedmiotu, który w sobie obejmują, a przynajmniéj nie na taką liczbę ludzi wywierają swój korzystny wpływ, pod względem upowszechnienia między niémi gruntownych i pożytecznych wiadomości, ileby wywierać go mogły, gdyby się zalecały większą jeszcze treściwością, prostotą wykładu, jasnością i dostępnością ceny: zaczynają znowu ich autorowie, albo też tych autorów uczniowie, myślić nad dalszém onych skróceniem, okrzesaniem, utreściwieniem i że tak powiem, uludowieniem (spopularyzowaniem); gdy tego dokonają, ogłaszają wypadki swoich prac pod imieniem *dorężników*, *encyklopedyj popularnych*, *obrazów* (manuels, enciclopedies populaires, tableaux sinoptiques etc.). Przez co wszystko dzieła te tracą wprawdzie coraz więcéj na swojéj powierzchownéj okazałości i głębokiéj uczoności, ale nie wiele szkodują na praktycznéj swojéj użyteczności; a nawet więcéj ją mając przez to na jaw okazaną, aniżeli wtenczas, kiedy były zapełnione, uczonemi wprawdzie, ale ciężkiemi, odstrasza-

jącemi, i mało ogół obchodzącemi wywodami, przypuszczeniem i cytacijami, a tém bardziéj kiedy zostawały w pierwotnym swoim chaotycznym stanie: więcéj zyskają dla siebie poważania i wziętości u ogółu; a przez to więcéj wpływają na jego prawdziwą oświatę, aniżeli wtenczas, kiedy były dostępne tylko dla pewnéj liczby swoich zwolenników czyli tak zwanych adeptów.

Do tego rodzaju dzieł skróconych naukowych, należą bezwątpienia wydawane teraz w Paryżu i w innych miejscach Europy, przez różnych uczonych, *obrazy* czyli *karty naukowe* (tableaux scientifiques), które na kilku, a najczęściej na jednym tylko arkuszu znacznego formatu, przedstawiają sposobem rysunkowym, zastosowanym do rodzaju przedmiotu, jaki obejmują, treściwy i najczęściej ozdobny obraz, czyli, że tak powiem, kwiat nauki, której są poświęcone. Do części rysunkowej załączony jest zwykle na tych kartach treściwy tekst czyli krótki wykład rzeczy i potrzebne jej objaśnienia.

Takich obrazów naukowych poświęconych nietylko umiejętnościom ścisłym, jako to: astronomji, matematyce, mechanice, fizyce, chemji, mineralogji, geologji, historji naturalnej, medycynie i t. d. ale nawet humanjorom, sztukom nadobnym i rzemiosłom, jak np. historyi powszechnej, etnografji, budownictwu, perspektywie, sztukatorstwu, ciesielstwu, stolarstwu, szlósarstwu i t. p., takich mówię obrazów, które prawie wszystkie w jednym są wydawane formacie, i z równą niemal wykonane starannością, naliczyć już można teraz do kilkudziesięciu. A lubo nie można ich uważać za zupełnie nowe zjawisko w świecie naukowym, bo i dawniej były znane podobnego rodzaju karty naukowe; ale ta należy się zasługa autorom i wydawcom, że przez porządne i niemal systematyczne prowadzenie swojej rzeczy, którą do dokonania przedsięwzięli, zdają się dążyć do jednego, jakby umówionego przez siebie celu, to jest: do okazania światłej—i światła pragnącej powszechności, tego, co tylko może być w każdej nauce, umiejętności, sztuce i rzemiośle najpiękniejszego i najwięcej ogół zajmującego, a tem samem najbardziej zdolnego obudzić w nim zamiłowanie do nabywania gruntownych i pożytecznych wiadomości, które w obszerniejszych wykładach tychże nauk i umiejętności znaleźć można.

Obok tej praktycznej i szczegółowej korzyści, jaką nam wskazuje każda z osobna z pomienionych kart czyli obrazów naukowych, przebija się jeszcze w nich ten ogólny i ogólnego dobra tyczący się cel, zamierzony bezwątpienia przez ich autorów, aby przez te obrazy okazać mogli zmysłowo i w sposób dostępny, oraz miły dla każdego, najpiękniejszą część, czyli, że tak powiem, czoło; a tem samem i malującego się w niem ducha każdej nauki. Gdy zaś wiadomą jest rzeczą, że zamiłowanie części jakowej całości, rodzi w nas mimowolny pociąg do samejże tej całości: przeto jak osiągnięty zostanie wspomniany dopiero cel, to jest, że jak wszyscy w ogóle ludzie w równem zamiłowaniu, w poważaniu mieć będą wszystkie nauki: nie tylko nie będą, jak dotąd stronnie, fałszywie i z krzywdą dla dobra ogólnego o nich sądzili, ale owszem starać się będą bliżej z niemi obeznać. A gdy poznają, że nie mają one w sobie nic takiego szkodliwego, co w nich dotąd wstręt ku nim, jedynie z powodu ich nieznajomości obudzało, uczują wszyscy ku wszystkim równy pociąg, i dla wszystkich równy okazywać będą szacunek. I to stanie się źródłem powszechnego i prawdziwego *oświecenia* rodzaju ludzkiego, które zamieni się z czasem w powszechne i prawdziwe *poświęcenie*: albowiem skoro miłować będą wszyscy w ogóle ludzie szczególne powołania i prace swoich spółbraci, i wiedzieć, że one wszystkie do jednego zmierzają celu, to jest do celu *dobra powszechnego*, pokochają niewątpliwie i tych, którzy się takowym pracom oddają, i będą ich uważali za sprawców pomienionego dobra, w którem się i ich własne mieści, a zatem nie za swoich przeciwników, ale za przyjaciół, i za przyjaciół doskonałości najwyższej, która takowej wzajemnej między nami przyjaźni i miłości, jedynie od nas wymaga.

To cośmy tu powiedzieli o wpływie ogólnej znajomości wszystkich nauk, sztuk i umiejętności na ogólną oświatę i idącą za nią wzajemną miłość i szczęśliwość rodzaju ludzkiego, jest tylko napomknieniem tego, coby się jeszcze w tej ważnej materyi dało powiedzieć. Ale gdy w teraźniejszym oświeconym wieku, tak już usposobione są umysły do zastanawiania się, nie tylko nad pojedynczemi rzeczami, lecz nad najogólniejszemi i całą ludzkość obchodzącemi sprawami, że roz-

wodzić się w tej mierze przed niemi i przekonywać ich szczególnemi dowodzeniami, uważa się prawie zawsze za uchybienie ich światłu i pojęciu: zwłaszcza w takiej sprawie jaką jest sprawa dobra powszechnego, która, właściwie mówiąc, nie jest przedmiotem rozumowania lecz miłowania; ale, gdy mówię, *w teraźniejszym wieku ogólnego oswiecenia i poswięcenia*, tak daleko już rzeczy postąpiły, że za nic prawie uważają się słowa i myśli bez czynów, czyli przekonanie bez wykonania *), czyli mądrość bez dobroci: więc nadaremnie może tracilibyśmy czas, gdybyśmy się dłużej bawili nad tym przedmiotem, który, tak jak każdy inny jemu podobny, tyle tylko ma wartości, w teraźniejszem uważaniu rzeczy, ile jest potwierdzeniem tego co czynimy.

A gdy nie możemy czynić wiele, czyńmy przynajmniej to, na co nas stanie, to jest w małych rzeczach odkrywajmy, utajone dotąd w nich wielkie cele, i objawiajmy je bez obawy kwoli dobru powszechnemu choćbyśmy nawet w téj pracy minęli się cokolwiek z prawdą, aby tylko nie z prawością; choćbyśmy nie okazali w niej tyle, ile wymaga ścisła dyalektyka, związku logicznego, abyśmy jej tylko nie ujęli użytku praktycznego: bo logika czyli teorja, nie zawsze chodzi w parze z praktyką, bo tysiąc razy można obrazić prawdę, bez popełnienia grzechu: jak np. twierdząc z umysłu lub z pomyłki, że kamień jest chlebem lub chleb kamieniem; a ani razu nie można bez winy minąć się z prawością, to jest, np. rzucając na kogo kamieniem, albo wydzierając mu chleb, jako krwawo zapracowaną jego własność.

Skoro więc tak jest: czemu tylko logicznie czyli słowami i myślami, ale nie praktycznie czyli czynami można zaprzeczyć, nie lękajmy się logicznych zarzutów przeciwko temu cośmy dotąd powiedzieli, abyśmy tylko mieli po sobie praktyczność czyli użytek ogólny. Użytku tego możemyż zaprzeczyć treściwym zbiorom i obrazom nauk, o których była mowa, kiedy one nie tylko nie szkodzą wielkim dziełom, z których zostały wyczerpnięte, ale owszem czynią dla nich tę przysługę, że zachęcają do ich czytania ogół, któryby bez tej zachęty, nigdy może nie odważył się zbliżyć do nich, dla samej ich objętości. A nie zbliżywszy się i nie przejąwszy się ich treścią, nie mógłby ich tak sądzić, jak na to zasługują, a tem samem przyswoić dla siebie za-

*) Teorya bez praktyki.

warte w nich zasady, i obudzić w sobie szacunek dla ich autorów; którego może oni, przez zwykłą sobie skromność nie wymagają, ale go wymaga dobro ogólne, na miłości ogólnej wszystkich ludzi opierające się.

Skoro więc o to, a nie o co innego rzecz idzie, więc okazalibyśmy się nieprzyjaciołmi tegoż dobra, albo obojętnemi na jego postęp, gdybyśmy mając jakiekolwiek i z jakiegokolwiek powodu powzięte o niem myśli, zagrzebali je w sobie: przez co większej może dopuścilibyśmy się winy, aniżeli gdybyśmy zupełnie fałszywe, a zatem nie szkodliwe, bo łatwe do zbicia, ogłaszali o niem wyobrażenia. Gdy więc tak jest, nie spodziewamy się ściągnąć wielkiej na siebie odpowiedzialności, jeżeliśmy się (o czem wątpimy) w obecnej rzeczy minęli cokolwiek z prawdą, albo jeżeliśmy za zbyt blizki upatrzyli stosunek między rzeczami tak odległemi, jakiemi są w istocie: z jednej strony—krótkie zbiory nauk i ich upowszechnienie między ludźmi, a z drugiej zajaśnienie przez nie prawdziwej *oświaty na swiecie*, i obudzenie się w najzacniejszej jego cząstce, to jest, w rodzie ludzkim, uczuć *ludzkich*, czyli uczuć miłości *dobra powszechnego* *); *w którém tak jak części w swojéj całości*, *mieszczą się wszystkie dobra szczególne.*

Po tem wszystkiem co się tu powiedziało, mamyż uczynić zwrot do przedmiotu, który stał się dla nas powodem do niniejszych uwag? nie zaiste, jest on już pod sądem wszystkich, a zatem wszyscy tylko spólnem zdaniem sprawiedliwie o nim wyrokować mogą. Ale ponieważ stanowi on tylko cząstkę całości, to jest całego zbioru podobnych jemu przedmiotów: przeto tylko w połączeniu z niemi da się on należycie ocenić, co do swojej wartości ogólnej. Gdy zaś, jak każda inna rzecz, tak i ta, oprócz wartości ogólnej, ma jeszcze inną sobie właściwą czyli szczególną; przeto i o niej wypada nam tu nieco spomnieć, abyśmy, ile tylko jest w naszej możności, zupełne o tejże rzeczy dać mogli naszym czytelnikom wyobrażenie.

---

*) Bonum universale, bonum catholicum, od wyrazu greckiego *katolon* (universalis, powszechny.)

Wiadomo ile dokładna znajomość klimatu każdego miesjca na ziemi jest ważna w rolnictwie, w sztuce pielęgnowania istot żyjących, w nauce zachowania zdrowia i w całem naszem życiu praktycznem; wiadomo także jak mało dotąd ta znajomość jest upowszechniona, a zatem jakie ztąd wynikają dla pomyślności ogólnej szkody, z przyczyny trudności stosowania, dla pewnych miejscowości, zasad rolnictwa, ogrodnictwa, hygieny i t. p. praktycznych umiejętności, odkrytych przez doświadczenie czynione w innych, znacznie różnych co do klimatu miejscowościach. To wszystko wiedząc, będziemyż okazywali obojętność dla prac podejmowanych, przez miłośników nauk i dobra ogólnego, około zaradzenia tym ważnym potrzebom? Prace te są w istocie dla nas i dla tegoż dobra nieocenione; ale że zostają one jeszcze dotąd po większéj części w stanie surowych i nieuporządkowanych materjałów; z których dopiero w czasie powstać może systematyczna i dostępna dla ogółu całość: przeto teraz, mimo spodziewaną swoję wartość, małego są one jeszcze dla tegoż ogółu znaczenia, i niemal tylko takiego, jakie ma nieporządny i jeszcze nieuzupełniony zbiór surowych materjałów, z których zamierzamy wystawić sobie kiedyś wygodną, nadobną i trwałą budowę, względem samejże téj budowli.

Nim to nastąpi, to jest, nim uczeni météorologowie i klimatologowie zdołają tyle zgromadzić do pomienionego celu materjałów, że będą mogli z nich dla rzeczonego dobra i dla własnéj pociechy, wznieść odpowiedni swoim pragnieniom, przybytek utajonéj dotąd przed niemi samémi i przed nami, co do tego przedmiotu prawdy, błogo jest nam widzić, choć małe w tym ważnym celu robione próby: jakich właśnie przedstawia nam przykład *Karta Klimatologiczna Warszawy* i jéj okolic, skreślona według wypadków dostrzeżeń meteorologicznych czynionych w tym najważniejszym, bo środkowym punkcie Europy, blizko przez pół wieku, i okazująca nam rzetelny oraz zupełny obraz klimatu, nietylko tego miejsca, ale przez przybliżenie i całego kraju, a nawet w pewnych względach i całéj części ziemi, któréj toż miejsce zajmuje sam środek.

Karta ta, oprócz téj wartości, że przedstawia nam, w miłym i przystępnym dla pojęcia ogólnego sposobie, najprzód stan klimatu nasze-

go co do dziesięciu najważniejszych właściwych jemu i każdemu innemu klimatowi, okoliczności, jako to: co do długości dnia, temperatury, prędkości wysychania wody, ilości pary wodnéj zawartéj w powietrzu, jego wilgotności, stanu jego pogody, ilości spadającéj wody na ziemię, wielkości powodzi, kierunku wiatrów i mocy ciśnienia powietrza na ziemię, na rzeczy ziemskie i na nasze ciało; *powtóre* podział roku naturalny: na dwa półrocza,— na cztery pory fizyczne—i na ośm pór gospodarskich czyli ekonomicznych *), do którego to podziału stosują się wszystkie prace rolnicze, ogrodnicze, leśnicze, spławowe, inżenierskie, budownicze, a nawet w znacznéj części domowe, przemysłowe i techniczne:—ma jeszcze dla nas, ta na pozór mała, ale w zastosowaniach znakomita praca naukowa, nierównie ważniejsze dwie wartości, to jest *pierwszą* tę, że jest dla nas rzeczą zupełnie swojską czyli rodowitą, bo będącą w całkowitości owocem rodowitéj pracy, i dla poznania rodowitéj ziemi podjętéj; a *drugą*, że nam przedstawia rys i układ nowéj, ważnéj i zaledwie z imienia dotąd znanéj, ale systematycznie jeszcze nie traktowanéj nauki przyrodzonej, to jest *Klimatologii*. Nauka ta czyli raczej umiejętność, lubó uważa się za część *Meteorologji*, jednak różni się od niej niezaprzeczenie: o czem każdy łatwo zapewnić się może, porównawszy *Kartę Klimatologiczną* o której mowa, z *Kartą Meteorologiczną* wydaną niedawno w Paryżu przez Perota, pod tytułem: Tableau de Météorologie, która to karta wraz z wielą innemi podobnémi obrazowémi przedstawieniami nauk i umiejętności, znajduje się w naszych składach rycin, jak np. u braci Pelizzarów w Warszawie, i nawet zdobi już, nie jeden ze zbiorów naukowych domowych, poświęconych początkowej instrukcyi młodzieży, i przeznaczonych do obudzenia w niej chęci ku pożytecznym naukom, sztukom i umiejętnościom.

*) Podział ten, lubo powszechnie przyjęty przez ludzi praktycznych, jest zupełnie prawie dotąd obcy naukom i uczonym a przynajmniéj nie tyle znany co do swojéj zasady i ważności, ileby na to zasługiwać powinien.

OCENA
ROZPRAW O JĘZYKU POLSKIM I O JEGO GRAMMATYKACH,
tudzież
GRAMMATYKI JĘZYKA POLSKIEGO,
przez P. Jana Nepomucena Deszkiewicza napisanych.

(Rzut ogólny na obydwa dzieła.)

Przy ożywionym ogólnym ruchu literatury krajowéj w rozmaitych gałęziach nauk i umiejętności, występują także dosyć często dzieła, mające na celu zbadanie naszego języka, ujęcie go w formy stałe, umięjętne, na naturze jego oparte. Każde podobnego rodzaju dzieło, bądź wyszłe, bądź w przyszłości zapowiedziane, zajmuje miłośników mowy macierzystéj; i nic zadziwiającego—każdy albowiem pragnie poznać tę mowę, którą z mlekiem wyssał, któréj w najmniejszéj okoliczności używać musi, aby wydał co myśli; aby pojął myśli drugiego: lecz oraz tak usiłuje poznać, iżby miał o niéj wewnętrzne przeświadczenie, iżby w każdym razie wiedział, dla czego się tak wyraził, dla czego tego, a nie innego zwrotu użył: słowem,—i w mowie swojéj chce być istotą myślącą, to jest: chce czucie swojego języka myśleniem popierać. — Inni znowu z drugiéj strony, czując w sobie siły po temu, czy istotne czy też urojone, starają się zaspokoić tę potrzebę i wydają swoje prace, które mają być wskazówką w téj nauce. Ostatnich, to jest przewódzców w języku, pomnożył liczbę P. Deszkiewicz, który w roku 1843 we Lwowie wydał *Rozprawy o Języku Polskim i o jego Grammatykach.*

Dziełko to poświęcone sześciu (podług autora *sześci*) osobom, w trzech zamknął rozprawach.—Pierwsza rozprawa, jak autor nazy-

wa, obejmuje własności, zalety i porównanie naszego języka z innémi. Druga zawiera przejście historyczne o kształceniu się mowy naszéj. Trzecia prawi o grammatyce polskiéj, jéj układach, o błędach grammatyków, o prawach grammatykowi służących i o trudnościach grammatycznych do załatwienia. W nich, a mianowicie w pierwszéj, pokropił się świętém zamiłowaniem do języka, wskazując jego bogactwo, jego piękność, jego czystość: słowem, wymieniając jego wszystkie zalety, nawet z ujmą innych języków,—i tym sposobem zachwycił serca wszystkich.—Dosyć szczęśliwy obrót, ale czy długo pomyślny, —wkrótce się okaże.—W drugiéj rozprawie mniéj hałasu, więcéj usilności i pracy widać.—W trzeciéj tonem dyktatorskim zgromił wszystkich gramatyków, jak to mówią, od A do Z, a więc i mnie kilka razy potężnie się po uszach dostało; zapowiedział z wysokości swego stolca (to jest tronu, bo tak dawni pisali, a dawnych język bezwzględnie P. Deszkiewicz zachwala) wydanie grammatyki w przeciągu kilku miesięcy, rozkazując oraz, aby uczeni rodacy lub w pismach peryjodycznych wydali sąd o jego rozprawach, lub téż listownie do Łańcuta przesłali, z których on korzystać będzie (bardzo dobrze to rozumiem) i z wdzięcznością przyjmie lub przy swojém mniemaniu zostanie (to jeszcze lepiéj rozumiem).—Oto cała treść trzech rozpraw.—Na takie *dictum acerbum*, ile mi wiadomo, *conticuere omnes* i ja z niemi, bośmy woleli czekać, dopóki grammatyka P. Deszkiewicza, ta gwiazda i ozdoba wszystkich a wszystkich grammatyk, na horyzoncie świata nie zajaśnieje.

W roku bieżącym wydał nareszcie swoję główną pracę, tak szumnie i z góry zapowiedzianą, w skutku czego niecierpliwie oczekiwaną, w 14tu rozdziałach, nie licząc w to przedmowy i wstępu o głoskach, 464 stronnic zajmującą, pod napisem: *Grammatyka Języka Polskiego*, przez *Jana Nepomucena Deszkiewicza*, *w Rzeszowie*, 1846 roku. *a*)

W przedmiocie do grammatyki również po dyktatorsku powtórzył, że oczekiwał, czyli kto z uczonych przeciw jego zdaniu nie wystąpi;

a) W nawiasie (Roz.) (Gra.) oznaczać będę Rozprawy i Grammatykę autora.

że zaś wszyscy siedzieli cicho: on przeto ich milczenie bierze za przyzwolenie i niezachwiany w swych zasadach pisze grammatykę.—Następnie poleca, aby się nikt nie ważył zbijać go przywodzeniami z dzisiejszych pisarzów, bo weźmie to za nieznajomość rzeczy, za lenistwo i t. p.—Wyjawia także myśl swoję, iż będzie szczęśliwy, gdy osądzą jego dzieło stosowne na wiek 16ty. Nim się sam przekona, czém ono jest właściwie; nim wskrzesi tych, którzy mają się uczyć języka polskiego z jego dzieła: musiemy zwrócić uwagę czytelników na jego nadzwyczajną zarozumiałość, na jego zwrot wsteczny, na jego sprzeczność samemu sobie! Kto tak śmiało występuje i walki się nie ma lękać, jak sam oświadcza, temu śmiało i wręcz oznajmiam, iż sama tarcza z pisarzów starożytnych i cała nieraz historyczność pod jednym dowodem rozumowym uklęknie i słabość swoję pokaże,—a rycérz poddać się musi. Z tego jednak, com dopiéro powiedział, poczytuję sobie za obowiązek oświadczyć, iż powaga naszych dawnych pisarzy jest dla mnie święta; szanuję ją, poważam, biję przed nią czołem, ale względnie, to jest: tam tylko, gdzie moje przeświadczenie na rozumie oparte z nią jest w zgodzie. Dla tego w zbijaniu P. Deszkiewicza używać będę téj saméj broni, popieranéj rozumem. Co się zaś tyczy dzisiejszych pisarzy, te na ich obronę przytaczam cudze słowa: „Przodkowie nasi nie trudnili się wyższą umiejętnością i nie zostawili nam umiejętnie wykształconej mowy. Mamyż więc przez zbytnią i nierozumną troskliwość o czystość języka, wyrzec się wszelkiéj umiejętności wyższej i pisać tylko kazania, tylko poezyje."—I znowu w innem miejscu: „Przodkowie nasi język kształcili; maż więc być nam nie wolno zająć się dalszem jego kształceniem."

Przystępujemy teraz do określenia Grammatyki w krótkości, zaczynającej się wstępem o głoskach. Rozdział pierwszy obejmuje podział mowy; rozdział drugi traktuje o wykrzykniku; trzeci mieścić ma w sobie zaimki; czwarty mówi o odmianach rzeczowników (chociaż tam wszystko znajdziesz), rozdzielających się na 10 wzorów i dwa podwzory; w ogóle zatem 12. Rozdział piąty zawiera przymiotniki z cztérema wzorami. Tu także lekkie wspomnienie o stopniowaniu przymiotników. Rozdział szósty poświęcił na przysłówki; siódmy na przyim-

ki; ósmy na spójniki, a dziewiąty na odmiany słowa, które na sześć wzorów rozdziela, odłączając słowa nie mające wzoru. Ta część dzieła jest najobszerniejsza, bo 373 stronnic zawiera. W rozdziale 10tym jest składnia, w 11tym iloczas, w 12tym pisownia, w 13 wierszowanie, w 14tym pogadanka o tworzeniu wyrazów.

Bliższy pogląd na dzieło.

Wstęp, jakkolwiek krótki, jest bardzo długi. To rażąca sprzeczność! Tłumaczę się natychmiast.— Pytam się autora, w jakim celu prawi o podziale współgłosek, kiedy w całem dziele nie ma ich zastosowania; dla czego, wymieniając podział spółgłosek na mocne i słabe, nie umieścił go już całego, chociaż bez żadnej korzyści? (w całem dziele go nie użył). Autor zapewnie będzie się tem tłumaczył, iż przy każdej okoliczności tę zamianę wskazuje; nie przeczę temu, ale jak niedołężnie, jak dziecinnie! Gdy mu sto razy przyjdzie wskazać, że *b* zamienia się na *b'*; *t* na *ć* z dodaniem *i* (jak się autor wyraża) i t. p.; sto razy tę piosnkę słyszę i widzę szeregi głosek. I maż to być ułatwieniem, kiedy każda karta bez żadnej potrzeby najeżona rzędami liter, jak las drzewami! Ta okoliczność najodważniejszego, najcierpliwszego odstraszy od nauki języka polskiego, oraz dowodzi, że autor nie ma, nie mówię, słabego, ale żadnego pojęcia, czem właściwie jest Grammatyka. Gdyby autor istotnie ją rozumiał, byłby schował w swoję tekę te wszystkie szczegółki, ten szczegółowy rozbiór na pamiątkę swojej pracowitości, trudów, jakie poniósł, a ludziom przedstawiłby ogólniki, do których oni, odnosząc szczególne przykłady i stosując je, przekonaliby się rzeczywiście, że prawidło autora ma zasadę, bo obejmuje wszystkie szczególniki do wskazanego prawidła odnoszące się. Nie można się przeto dziwić powszechnemu dziś narzekaniu, jakie wszędzie przeciw grammatykom powstaje; *b*) piszą oni analizę, a gramma-

b) Takiego rodzaju Grammatycy i Grammatyki, jak P. Deszkiewicza, spowodowały bez wątpienia P. Wiszniewskiego w Historyi Literatury (T. VI. str. 345) do jednostronnege sądu o Grammatykach. Tak on mówi: „W pierwszych więc wiekach język każdego narodu rozwijał się swobodnie we wszystkich kierunkach; jeszcze go nic z naturalne-

tyki celem, aby była korzystną, naukę języka ułatwiającą i do przeświadczenia wiodącą, jest synteza. Jeżeli mojemu zdaniu autor nie daje

go nie zwodziło toru, jeszcze nie było ani grammatyków, ani przemagającego obcego języka, jakim był np. język łaciński w wieku szesnastym, a francuzki w ośmnastym dla języków europejskich i t. d." —W przypisie znowu tak swoję myśl rozwija: „Nie mogąc w tém miejscu wyłuszczyć obszernie tak zawiłéj rzeczy, czegoby dla wkorzenionego mocno przesądu potrzeba; przytoczę niżéj powagę jednego znakomitego grammatyka, aby mnie przesądni lub nieświadomi przynajmniéj o lekkomyślność oskarżać nie mogli. Tego mi wszelako nikt nie zaprzeczy, iż *panienki przy matce schowane, które nie znały ani ochmistrzyni francuzkiéj, ani grammatyki, czyściejsze mają wymawianie, ozdobniéj się tłumaczą, prędzéj właściwych wyrazów dobierać umieją, niż chłopcy, którzy przy grammatyce rosną,* bo ich język rozwijał się i kształcił równo z rozumem, nie wyprzedzając go." —Jeżeli na takie zdanie słusznie zasłużyły złe grammatyki; nie idzie za tém, aby się ściągać mogło i do dobrych: z obowiązku więc prawdy powinienem stanąć w obronie grammatyki, aby przesądni lub nieświadomi nie zechcieli rozciągnąć zdania P. Wiszniewskiego do wszystkich bez wyjątku grammatyków i grammatyk.

Dla każdego grammatyka, zdaniem mojém, język narodu, którego pisze grammatykę, jest materyałem gotowym, świętym i nietykalnym. Powinien on ten materyjał obejrzeć, o ile możność pozwoli, wszechstronnie; zbadać jego ducha, poznać jego rozwijanie się w czasie i postęp, jaki uczynił przez przeciąg swego trwania. Gdy należytą języka analizę uczyni, wolno mu będzie przystąpić do syntezy, to jest, do określania ogólnych prawideł, form, wzorów, i tu okaże swą samodzielność. Usprawiedliwi je w każdym razie przykładami szczególnémi, czerpanémi z różnych wieków i autorów; i im więcéj takich przykładów przytoczy, tém silniéj przekona o gruntowności i prawdziwości swoich prawideł. Tu ma zaprzéć sam siebie i uchowaj go Boże, aby swoje kuł przykłady i podsuwał pod prawidła.—Na téj drodze zginie i nie dopnie celu.—On sam się oszuka, nie wiedząc kiedy albowiem myśląc, że pisze grammatykę narodu, napisze ją stosowną do samego siebie, i dla tego wszyscy sprawiedliwie zawołają: brednie! brednie plecie! Kiedy się sam poświęcił na sędziego w języku, (nikt go albowiem do tego nie zmuszał), niechże będzie sędzią, a nie staje się stroną; bo, gdy raz wmięsza się nie w swoje rzeczy, osądzi

wiary. przytaczam cudze słowa, które w świecie mają powagę: „Loika, równie jak Matematyka, Grammatyka i Estetyka, należy nie do umiejętności treści, ale do umiejętności formy.”

stronę niesprawiedliwie: musi zatém ze wstydem innemu miejsca ustąpić. Tam, gdzie się strony nie zgadzają, może najświetniéj wystąpi z swojémi zdolnościami w charakterze sędziego; lecz bacznie ma rozważyć powody stron obydwóch; ma te prawdy jawne uczynić wszystkim; powinien swojemi dowodami rozumowemi okazać i przekonać, że jedna strona bezzasadnie się domagała praw swoich, że druga ma słuszność i za tą zawyrokować; a wtenczas przegrana nawet strona sama odstąpi od swoich przywidzeń.

Zboczenia nie przystające do żadnéj z form, jakie skreślił, musi szanować i zostawić je nie tknięte, bo to jest własnością całego narodu.—Gdyby jakiś sposób wyrażenia był nawet nierozumowy; skoro jednak cały naród przez cały czas istnienia języka go utrwalił, sposób ten wyrażenia jest święty, nietykalny:—naród go przyjął; naród go tylko ma prawo odrzucić. Z téj wychodząc zasady, jako znawca języka i obecnego i dawnego, może niektóre formy, przez większą część narodu zapomniane, ale objawiające jeszcze życie, ale koniecznie do odcieni myśli potrzebne, na widownią z ukrycia wywieść, usprawiedliwiając swoje postępowanie rozumowaniem i wykonaniem korzyści, jakie stąd dla języka obecnego wynikają.—Grammatyka, powyższe własności posiadająca, musi być dobra, bo będzie objawem, wiernym obrazem języka; będzie pożyteczna, bo, skreślając ogółowo rodę języka, szybko obznajmi uczącego się z całą budową i jego duchem; a tém samém skróci czas w téj pracy; ważne przyniesie korzyści w rozwijaniu władz umysłowych, bo uczący się, odnosząc szczegóły do form ogólnych, upatrując stosunki, podobieństwa, różnice, obudzi w sobie władze myślenia. I czyliż te powody nie powinny w nas wzbudzić, że tak powiem, poszanowania dla grammatyki? Z tego wszystkiego sądzić należy, że tylko uprzedzony człowiek przeciw grammatyce powstawać będzie.

Następującą jeszcze okoliczność wspomnieć wypada.—Lubo jestem najmocniejszego przekonania, że P. Wiszniewski miał na celu złych grammatyków, którzy istotnie chcą kaleczyć język i jego naukę utrudzają; lubo autor zajęty głównie Historyją Literatury, uważał ustęp o grammatyce za rzecz bardzo podrzędną: przecież w rozumo-

W rożdziale pierwszym, ani określenie części mowy, ani porządek, w jakim je umieścił, na żaden sposób utrzymać się nie może. Okre-

waniu swojém powinien był być ściślejszy. P. Wiszniewskiego dowodzenie jest takie: *ponieważ panienki przy matce schowane, nie znające grammatyki, czyściejsze mają wymawianie, ozdobniéj się tłumaczą, prędzéj właściwych dobierać umieją wyrazów, niż chłopcy, którzy przy grammatyce rosną; ztąd oczywisty wniosek, że grammatyka utrudzająca naukę języka, jest wcale niepotrzebna.* Ośmielam się swoje zdanie otworzyć, iż dowodzenie P. Wiszniewskiego jest największym mylnikiem. Autor *Charakterów Rozumów Ludzkich* wié bez wątpienia, że mężczyzna, a kobieta—to zupełnie inny człowiek pod wszystkiemi a wszystkiemi względami! Nie wdaję się w rozprawy psychologiczne i filozoficzne, krótko więc rzecz kończę: kobieta w szesnastu latach ma zupełnie naturalny rozum; mężczyzna w 16tym dziesięć razy więcéj nauki posiadający, jest jeszcze dziecięciem, i dla tego pozwoli się pierwszéj dziesięć razy wywieść w pole.—Trzeba było zatém P. Wiszniewskiemu okazać koniecznie: *że chłopcy, którzy nie znają grammatyki, są zdolniejsi od tych, którzy się jéj uczą*: wtenczas i ja musiałbym z innéj strony obronę prowadzić.

Stając w obronie grammatyki, nie miałem téj myśli, abym się kusił mierzyć z P. Wiszniewskim; owszem wyznaję swoję niższość, bo znam jego naukę, jego prace literackie i zasługi, jakich ciągłe daje dowody dla naszéj literatury i języka, a które dla osoby autora nakazują mi najwyższe poważanie. Jednak, jako obrońca z przekonania, musiałem otwarcie przeciw niemu wystąpić, i, ażebym zupełnie odpowiedział swemu obowiązkowi, ażebym przywiódł go do skutku i nie uchybił P. Wiszniewskiemu, przytaczam słowa jednego także znakomitego autora, którego powaga nie zmniejszy zasług P. Wiszniewskiego, a dla mnie stanie się puklerzem, w którym walkę mam ukończyć. Tak on za grammatyką przemawia: „Bezpośredniém łowieniem najróżnorodniejszych wrażeń, wyobrażeń, przypomnień i pojęć w wielkim Atlantyku natury, kształceniem swéj mowy i czytaniem stosownych książek, wykształci wychowaniec rozum swój znamienicie. Skoro to nastąpiło, potrzeba ci z nim rozpocząć głębszą naukę ojczystego języka, i uczynić go szczególnym badania przedmiotem. Grammatyka rozwija, bogaci, krzepi i utwierdza rozum młody więcéj, niż sobie wyobrazić zdołasz; jest przeto słusznie,

śla autor pierwéj przysłówek, a po nim dopiéro przyimek. To rzecz nienaturalna z następujących powodów: Przysłówki są zlewkiem rozmaitych części mowy; w większą ich ilość wchodzą przyimki, np.:

od samego stycznia ludzkości, aż do dziś dnia jego najgłówniejszém ćwiczeniem. Czemu? Bo łatwiéj igrać ze słowami, niż z rzeczami; bo świat słów można mięszać jak karty, ale nie świat rzeczy; bo dla rozumu wszystko to jedno, czyli on rzeczy, czy słowa obrabia, skoro się przez to rozprzestrzenia, skoro do nowych kombinacyj przychodzi! Niektórzy nowatorowie pragną grammatykę ze szkół domowych, prywatnych i publicznych zupełnie wypędzić, utrzymując, iż ona nie przynosi młodemu rozumowi rzeczywistéj treści, ale formy i formułki, reguły i prawidła. I jakiejże wymagacie treści? Odpowiadacie: *świata zewnętrznego, rzeczy samych*! Czyliż ta treść nie była od kołebki dziecięcia jego rozumu ćwiczeniem? I jakże rozum młody daléj kształcić chcecie, skoro już na treści rzeczowéj znamienicie się rozwinął? Po treści następuje, jak nam z loiki wiadomo, forma, a więc zarzut wasz niesłuszny! Czyliż daléj nie pojmujecie tego, że treść i forma różnią się względnie,—bezwzględnie zaś jedną są rzeczą?— I czémże trudni się grammatyka? Wyobrażeniami, przypomnieniami i pojęciami w słowa zamienionemi. Wyobrażenie jest wrażeniem, a wrażenie *rzeczą samą*; przyrównanie jest usadzoném wrażeniem, a więc także *rzeczą samą*; pojęcie jest przypomnieniem i wyobrażeniem w jedni, a więc również wrażeniem, *rzeczą samą*. Grammatyka przeto jest naturą wyższą, a jéj treścią wyższa rzeczowość. Czyliż nie jest rozum ojcem prawideł i oderwania? A więc ćwiczyć go będą grammatyczne formy, formułki, ogólne reguły i abstrakcyje. Posłuchano waszego zdania tu i owdzie, ale skutek wypadł wcale niekorzystny i musiano znowu zaprowadzić w szkołach grammatykę, jako szlacheckie turnieje dla dostającego brody rozumu. Grammatyczna nauka obcéj jakiéj mowy, np. łaciny i francuszczyzny, lub téż, kto głębiéj chce sięgnąć, greczyzny, niemczyzny; porównywanie tych języków co do znaczenia pojedynczych wyrazów, co do sposobów mówienia i prawideł z ojczystym językiem, tudzież cały kram filologicznego interessu: to rozległe pole do wydoskonalenia najwyższego rozumu! Tu nauczy się on praktycznie wszystkich wyników rozumowych, czyli tak zwanych Racyjocynijów, nie słysząc wcale o loice! Grammatyka jest praktyczną loiką, jest naturalną loiką dla podrost-

tu = *w tém miejscu; skąd* = *z którego miejsca; wszędzie* = *w każdém miejscu; dziś* = *w dniu dzisiejszym:* jakżeż zatém mógł autor dobrze oznaczyć uczniowi swemu przysłówek, kiedy dla niego przyimek, wchodzący w skład przysłówka, jest żelaznym wilkiem? Nagania autor innym, iż niesłusznie policzyli przysłówek do części mowy nieodmiennych, gdy ten ulega zmianie przez stopnie i przypadki; autora równie za to skarcić potrzeba, że nie zna odmian przysłówka: należało było koniecznie wiedziéć autorowi, że przysłówek ulega liczbowaniu, np. *z dawien dawna tak bywało*; *od dawien dawna tak mawiali starzy.*—Jest to jedyny przykład, który znam i który wyraźnie zachował drugi przypadek w liczbie mnogiéj *dawiên*, jak tych *drewien* i t. p. Mniéj wyraźny znajduje się w Biblji Gdańskiéj następujący: *Zaiste od zwierza rozdarty jest i nie widziałem go do tychmiast.*—Mniéj jeszcze wybitnych możnaby dużo nazbierać. Chociaż autorowi wskazałem jednę przemianę więcéj, mimo to nie podzielam jego zdania: zawsze przysłówek do części mowy nieodmiennych liczyć będę. I on sam, gdyby lepiéj zbadał rodę przysłówka, nie byłby tak niebacznie swoją niewiadomością ich obwiniał.

Lubo autor nie powiedział, że odmiany rzeczowników podług rodzajów ułożył; przecież wzory ten podział wskazują; albowiem podług pierwszych odmieniają się wyrazy rodzaju męzkiego, podług następnych idą wyrazy rodzaju żeńskiego, a podług ostatnich rodzaju nijakiego. Lecz ta okoliczność nie wiele wywiera złego wpływu, bo uczący się łatwo sobie ten podział uczyni i pamięci swojéj ulgę przyniesie; ale gdy mu przyjdzie spamiętać wszystkie końcówki, które się

ków płci obojéj. Grammatyki przedmiotem jest słowo, czyli ciało pojęcia; a loiki przedmiotem pojęcie, czyli dusza słowa. Każdy język ma swą filozofiję, która obrała grammatykę swym organem! Ucząc się więc grammatyki, uczy się wychowaniec filozofować, czyli uczy się głębiéj myśléć, rozumu swojego używać! Pod względem ćwiczenia młodego rozumu, nie znamy zaiste nic wyborniejszego nad grammatykę! Matematyka, loika i estetyka ćwiczą właściwie rozwagę, rozum zaś, jako rzecz poboczną; przedmiot ich téż więcéj już formalny i ograniczony. Wszystko na świecie np. jest słowem, ale nie wszystko ilością, myślą i pięknością!"

jak mrówki w mrowisku rozroiły; gdy w każdym wzorze inaczéj ujrzy przypadki uporządkowane (autor nazywa przypadek *skłonnikiem*) podług podobnych zakończeń w przypadkach; gdy ujrzy w wzorach przykłady, których znaczenia nie rozumié: musi natenczas koniecznie w głowie jego zamęt powstać; musi upaść pod ogromem nieładu.— Ale nie dosyć na tém: następuje nieprzeliczona ćma wyrazów przestarzałych, zupełnie zapomnianych, lub niezręcznie w nowéj kuźni autora ukutych, które po największéj części objaśniać musi, co oznaczać mają, a które służą za przykłady do powyższego wzoru. Wszyscy w wszelkiéj prawie nauce postępują za pomocą znanych do nieznanych, od łatwiejszych do trudniejszych rzeczy; autor nasz zdaje się postępować przeciwnie: wyrazy nieznane, stojące we wzorach, są najsilniejszym tego dowodem.—Jeżeli autor chce otrzymać tytuł grammatyka XVIgo wieku (Gram. VIII Przed.), to i tak się myli; albowiem, gdyby mogli powstać ludzie owych czasów i przeczytać, rzekliby: *to wierutne matactwo*;—*myśmy o takich wyrazach nigdy nie słychali.* —Zaraz za każdym wzorem idą pochodniki, to jest wyrazy pochodne i ich kształcenie się. Do nich liczy wyrazy spieszczone i pogardliwe (podług Kopczyńskiego *zdrobniałe i zgrubiałe*; podług mnie *stopniujące się*), nazwiska ludzi, krajów, miejsc i z nich formuje nowe, a to tak dalece zachodzi, iż we wzorze rzeczowników wszystkie części mowy na widownią występują,—ale w jakich jeszcze barwach! Dopiero z téj grammatyki pierwszy raz w swojém życiu dowié się niejedna familija, jak się ma pisać w podobnych wyrazach i w liczbie mnogiéj, np. *Linde*, *Lindejowy*, *Lindejowa*, *Lindejówna*, *Lindejczyk*, *Lindejowie* (Gra.182).—Wiem z pewnością, że ani żaden grammatyk, ani żaden Polak, ani nawet sam P. Linde, który niezawodnie więcéj lat głęboko badał język polski, niż ich P. Deszkiewicz w wieku swoim obecnie liczy, nie trafi z pochodników: *Lindejowy*, *Lindejowa*, *Lindejówna*, *Lindejczyk*, *Lindejowie* do pierwotnego wyrazu *Linde.* Każdy z nich tak rozumować będzie: „Z pierwiastków: *Rej*, *Pociéj*, mamy pochodne: *Rejowa*, *Rejówna*, *Pociejowa*, *Pociejówna*; pochodniki więc: *Lindejowy*, *Lindejowa*, *Lindejówna*, *Lindejowie*, koniecznie muszą mieć za swój pierwiastek wyraz *Lindej*, i w swém rozumowaniu podług danych pochodników nie omylili się, chociaż fałsz wyrzekli.

Obraz jednego wzoru jest najwierniejszém odbiciem wszystkich innych z tą jedyną zmianą dekoracji, iż przypadki podobne stoją w jednym wierszu, iż końcówki i wyrazy są inne, iż inna chmara wyrazów, jak szarańcza, występuje; z resztą kubek w kubek toż samo, jakby ulał.—Z takiego nibyto systematycznego układu ta niedogodność wynika, iż wiecznie też same prawidła w koło powtarza, spełniając los Danajidek, o czém w szczegółach najwyraźniéj się przekonamy.

Rozrzucił podobnie imiona liczbowe po wszystkich wzorach, i dla tego czytelnik gdy się dowié o odmianie liczby *jeden*, bardzo długo czekać będzie, nim się gdzieś niespodzianie nawinie odmiana liczby *dwa* i tak następnie się dzieje z innémi. Przebaczą mi czytelnicy za nastręczające się mojéj myśli porównanie: czém imię liczbowe w dziele autora, tém Izrael w świecie, to wszędzie i nigdzie; a jednak to imię,—imię liczbowe—zasłużyć sobie powinno było na poszanę u autora, choć na maleńki oddzielny ustępik. Zdaje mi się, że żaden grammatyk na swiecie tak nielitościwie się z niém nie obszedł.—Boleję nad jego położeniem, i dla tego w szczegółach niżéj wrócimy się do niego i przedstawimy sprawę jego przed sąd czytelnika.

Przyimki, przysłówki i spójniki, obejmujące trzy rozdziały, mogłyby się pomieścić w jednym na téj zasadzie, na któréj je autor uważa; widzimy bowiem jedne i też same wyrazy pod przysłówkami, przyimkami i spójnikami. Dla czego tak czyni, nieusprawiedliwia się z tego, nie dowodzi; w jego dziele nie istnieje *dla czego;* on powiada: *tak jest*, *tak być musi*, *tak starzy autorowie używali* (chociaż nie zawsze w tém ma prawdę), a ty czytelniku czytaj i wierz na ślepo! To jego godło!—

W rozdziale dziewiątym jest słowo, którego mi się tykać nie godzi, podług autora. W rozprawach swoich najnieloiczniéj ze mną sobie postąpił; w nich bowiem wyrzekł, że Żochowski nie ma prawa krytykować drugiego grammatyka o tryb rozkazujący, kiedy sam słów nie napisał. Przypuszczam na chwilę, że ma słuszność; ale jakież autor da usprawiedliwienie za sobą, gdy wtenczas ośmielił się krytykować Żochowskiego, kiedy jeszcze sam ani najmniejszéj cząstki grammatyki światu nie pokazał. „Czy sądził, że tu będzie bąkiem?— nie—muchą tylko—i w pajęczynie uwiązł.—Jakkolwiek jest, uczynię tę przy-

jemność autorowi, pójdę za jego przestrogą, nie tknę sześciu jego wzorów słowa; jednak, gdy dam sobie patent na krytykę, zamawiam sobie i najuroczyściéj przyrzekam, na każde zawołanie rozkaz jego wypełnić i konjugacije ocenić. Tu jednak zdanie śmiem otworzyć, iż się na budowę jego form słowa nie zgadzam; to zaś, co ma styczność ze słowem, pójdzie pod rozwagę.

O rozdziale noszącym nazwisko składni i o następnych, które zakończają dzieło, w ogólności to wyrzec można, że są równie niedostateczne, równie słabe, jak całe dzieło; w szczególnych jednak uwagach wytkniemy większe uchybienia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

LIST Z PROWINCYI.

O najnowszej powieści J. Korzeniowskiego, p. t.

SPEKULANT.

Niech cię Bóg błogosławi za nadesłanie w nasze strony takiego wybornego *Spekulanta.* Jest ci tu żywych co nie miara, lecz drukowany zabawniejszy. Wam, którzy święta i dni powszednie wśród literatów spędzacie jako wśród żywych bibliotek, ani daném jest wiedzieć nawet jak to na wsi między ludźmi, którzy mało czytają książek, ważném i uroczystém jest zdarzeniem zjawienie się nowego dziełka.— Najpiérw muszę ci powiedzieć, że gadają o niém.... bodajże, czy nie więcéj jak o prawdziwym, przebiegle podstrzeżonym romansie—bo dla takich głów żadném wysileniem fantazyi nie zużytych, dla takich wiejskich poczciwych i łatwowiernych umysłów, dla takich wyobra-

źni odłogiem czasem kilkonastoletnim spoczywających, nie uwierzysz jak lada obrazek, powiastka, drama i komedya, skoro już raz przedrą się za gruby mur chiński obojętnéj niewiadomości, skoro przypadkowie wsuną w rękę do fuzyi, kart ćwikowych lub nożyczek i igły przyzwyczajoną — nie uwierzysz mówię, jak głębokiém rytują się wrażeniem, jak w życie wchodzą, jak im są prawdą, rzeczywistością—zdarzeniem—osobą.—To aż miło dla takich ludzi coś skłamać, ma się rozumiéć skłamać uczciwie i z sensem moralnym jak autor Spekulanta. —Gdybym ja była autorem, to chętnie pokwitowałabym was wszystkich z obowiązku czytania pism moich, a natomiast chciałabym się dostać między takich jedynie co z professyi książek nie czytają—ileż tam wiary naiwnéj!.. ile łatwości w przyjęciu i zastosowaniu podsuniętéj nauki.... Ale... ale... staje mi jeszcze na myśli jedna między naszém wiejskiém, a waszém miejskiém położeniem różnica.—Wy możecie dla salonów kupować i pisać książki bez najmniejszego sensu moralnego—jak się zbierzecie razem, jak wdacie w *estetykę*, rozprawy, *zdania indywidualne*, tak najczęściéj stworzycie trzy książki z jednéj, przez czas kilkogodzinnego przy herbacie zebrania—każdy u was tak się czuje w obowiązku wypłacenia daniny ze swoich własnych oryginalnych spostrzeżeń, że najczęściéj dla tego czyta jedynie aby dać swój sąd o książce, żeby zaś dać go, chcąc nie chcąc musi sobie jakikolwiek wyrobić—czasem prawda zdarza się iż nie o dziele—no, to przynajmniéj o czém bądź; ze względu romansu np. o technologii, ze względu grammatyki o prawnictwie, ze względu rysunku o muzyce, ze względu filozofii o sobie.... jednakże to czy tamto zawsze się coś znajdzie i bez sensu moralnego drukowanego obejdzie—a my na wsi nie czytamy by sądzić, lecz by nabywać sądu, my prostoduszni nie uczemy, lecz uczemy się—nam téż potrzeba wyraźnéj i przejrzystéj paraboli słów łatwych do zastosowania, nauki gotowéj, żeby sobie nad nią głowy nie łamać, bo my się do tego nie wtrącamy i czasu by téż nam zabrakło—tu zasiewy, a tu żniwa, tu drób wszystek a tu przędza, tu wizyty a tu fajki, tu stroiki a tu leń.—Najzdrowsza więc dla nas prawda jasna i zabawna przy naszéj dobréj wierze, to jakby łyżka stołowa doskonałego.... antydotu—uważaj, proszę cię bardzo,

uważaj, iż nie mówię lekarstwa.—Niestety! przeszły bogi olimpijskie —i lekarstwa przechodzą!—Choroby nasze są już nie do uleczenia— jeśli co dobrego skutkować może, to jako antydot jedynie.—Trzeba przyznać że w naszéj okolicy *Spekulant* choć na półtory dozy wystarczy. Narailiśmy go już we trzech domach, pożyczyli w dwa bliższe sąsiedztwa i teraz już przez cztery niedziele, gdy się tam lub owdzie goście zebrali było o czém mówić.— Ciekawam bardzo co też u was już powiedziano w tym przedmiocie.—Jeśli mię wnioski różne nie mylą, to się znalazł może krytyk purysta, co nieraz skrzywił się okropnie na mnóstwo cudzoziemskich wyrażeń i prowincyonalnych zwrotów *interessujący*, *zasakryfikować*, *racya*, *wyszła za mąż*, *przegrał mu* zamiast przegrał do niego—i różne tym podobne usterki—gdyby ich nie było, toć pewnie byłoby lepiéj, ale kiedy są, to już, co do mnie przynajmniéj, wybaczam je zupełnie—powiem ci nawet, że mi robią obok tak żywego i łatwego dowcipu, wrażenie jakiejś potocznéj wesołéj gawędki, rzucają na opisywane przedmioty dokładniejszą niejako miejscowości barwę—już ja bym się o to nie kłóciła z autorem— lecz mam inne zarzuty,— poczekaj tylko, przyjdą one z kolei— teraz muszę jeszcze kilka zrobić przypuszczeń, a ty mi w przyszłym liście doniesiesz czy chociaż jedno w prawdę ugodziło.—Prócz krytyka purysty—czy téz jaki z nich nie powiedział, że spekulantowi brak jest dobrego powiązania zdarzeń, że dla przeprowadzenia niektórych wypadków poświęconą jest prawda głównych charakterów, że więc Spekulant nie jest dziełem powieściowém, nie jest dziełem dramatyzującém, nie jest dziełem idealizującém, nie jest dziełem charakterystyki, nie jest dziełem ostatecznie wyrzeczonéj opinii — słowem moja najdroższa, czyż wasi krytycy nie wyliczyli już wszystkiego czem *spekulant* nie jest?—Powiedz mi to koniecznie, bo chciałabym się przekonać czy mam chociaż jakąś krytycznéj domyślności żyłkę—ah podobno że nie, lub chyba z natężeniem i nadzwyczajném wysileniem umysłu.—Twoja biedna siostra nigdy się na krytyka nie wykieruje, zawsze widzi to co jest, a nie przemyśliwa nad tém czego nie ma.— Gdybyś mi się niespodziewanie spytała: a czém jest ten *spekulant?* —to bym ci zaraz bez namysłu rzekła:—wybornym zbiorem obyczajowych obrazków!—przez uszanowanie jedynie dla miejsca które zaj-

mujesz czasem na kanapie wśród literatów, zdobyłam się pierwéj na odszukanie tego, czém on nie jest, lecz i tak zupełnie saméj siebie pewną nie jestem czy potężnego bąka nie ucięłam. Dajmy więc pokój krytyce, a to lepiéj powiem ci jakie tu książka lekarskie i antydotyczne sprawiła skutki:

Jeden szlachcic szpakami karmiony, naśmiał się do rozpuku, że pan August, choć taki rozumny spekulant, wyszedł summa-summarum jak Zabłocki na mydle. — On to przynajmniéj, choć książki o nim nie napisano, daleko lepiéj się wykierował, bo i wziął bogatą dziedziczkę, i współspadkobierców wyprocesował do ostatniego szeląga i bez krwi rozlewu zdobył swoją osobą i na swoją osobę blisko sto ośmdziesiąt włók ziemi w najpiękniejszéj glebie położonéj, z czém zaiste nie lada rycerz heroicznych czasów pierwotnéj grecyi mógłby się pochwalić.— Inny znowu, który miał częste drażnienie nerwów w języku i ztąd bardzo wiele śliny, a ze śliną zwyczaj mówienia o wszystkiém co mu ona do ust przyniosła—pocieszył się nadzwyczajnie jak przeczytał, że można tym sposobem wyrobić sobie groźne stanowisko *kulawego djabła.*—Biedny! nie dojrzał pod urokiem ile to rzemiosło ma trudności—wczoraj nam ktoś powiedział że leży chory na guza, bądźże teraz poczciwym bocianem, co świat chce czyścić! Jeśli sobie nie przyprawisz twardego dzioba, długich nóg, szerokich skrzydeł, żebyś od razu uderzał głęboko, albo uciekał daleko, albo wznosił się tak wysoko jak bocian wzór twój.... A z pana Chorążego czy téż zgadniesz kto się najszczerzéj ubawił?... Otò Pan Sędzia—znasz go przecie, Pan Sędzia pokoju—on wcale domu nie wymurował, bo w tym w którym mieszka znać jeszcze resztki herbów książąt Woronieckich, od których jego babka przez swoją wujenkę pochodziła — a Pan C. śmiał-się serdecznie, bo nie cztery lecz sześć wsi i jedno małe miasteczko posiada—a Pan S. śmiał się głośno, bo jest wysokiego nie nizkiego wzrostu i t. d. i t. d.

Słyszałam téż niektórych młodych ludzi, co gdy o Spekulancie mówiono, wyrzekli stanowczo i uroczyście, że spekulacya małżeńska bez miłości, to bezczelne zaprzedanie swojéj osoby—to niegodziwość, to najgorsza ze spekulacyi—oni są pewni, że się nie ożenią jeźli się

pokochają—nie pokochają się zaś, póki nie zabezpieczą w przyszłości utrzymania przyzwoitego dla swéj żony, by jéj przecież na niczém nie zbywało, by się czuła zawsze od wszelkich kłopotów wolną, boć to najpierwszy tkliwego męża obowiązek, którego przy dzisiejszych ciężkich czasach, niestety! dopełnić można wtedy jedynie, kiedy się posag z góry odbierze — przez miłość więc dla żony i spodziewanych dzieci i wnucząt i prawnucząt swoich, trzeba posagu—przez miłość a nie spekulacyę—a wierz mi droga moja, że ja wierzę iż oni sami sobie wierzą; szczęść Boże i to dobre.....

Jeżeli po tych ubocznych postrzeżeniach, zdaje ci się że ja obwiniam Spekulanta, za podłechtanie miłości własnéj pana tego, za guz pana owego, za niedomyślność sędziowską i za wykrętne młodzieży naszéj słowa, to niech mi też nigdy już w życiu porządna książka do ręki się nie dostanie. Dziwne byłyby wymagania, gdybym od jednotomowéj powiastki żądała tego, czego trzydziesto, czterdziesto, pięćdziesięcio tomowa historya życia dokonać nie mogła,—gdybym żądała nawrócenia jednostek—pokuty grzeszników, upamiętania zbłąkanych. Dość że książka przeczytana, że o niéj wiele mówią, że uwaga na różne zdrożności się zwróciła—że już ci co wzrastają słyszą pewne wyrazy, podchwytują pewne podobieństwa, oswajają się z pewnemi myślami, prędzéj czy późniéj zaczną te ziarka kiełkować; od niedaléj jak wczoraj kiedy przed ganek posażnéj panny zajechała piątka, ze czterech koni i jednego kawalera złożona, zaraz młodsza bardzo dowcipna dziewczynka, któréj coś z wieczornego czytania do pamięci przylgnęło, w głos przy wszystkich zawołała: Pan Molicki! pan Molicki! wszyscy w śmiech a jéj siostra z wszystkiémi. Kto wie co jeden wyraz w porę właściwą rzucony, może odmian w życiu ludzkim sprowadzić, w ogóle niech się Spekulant rozchodzi na wszystkie strony naszego zakątka, od Kalisza do Siedlec od Marjampola do Olkusza, niech go czytają w Lublinie i w Łęczycy, Rawie i Łomży. — Spekulant, ów bicz dłuższy od tego z którego trzaskają przy zajeżdżaniu na dziedziniec bogatéj panienki, wszyscy zakochani i niezakochani konkurenci, bicz, który smaga i głupią próżność i niecne uczuć handlarstwo i najpospolitsze ze wszystkich brudów, brud myśli wiecznie zajętéj liczbą pieniężnéj korzyści; pieniądz w samém dotknięciu, wszak-

że wala palce; jakżeż on tkankę mózgu zanieczyszczać musi. Dajcie tam u was Spekulanta, niech go po ulicy roznoszą i wołają:—oto alegoryczne mydełko do wymycia głów wewnątrz gryszpanem osiadłych! o to wielce ucieszna powieść o tém co wszyscy wiecie! kupujcie panie! kupujcie, kupujcie panowie!!......

Teraz dopiéro muszę się przed tobą na kilka rzeczy poskarżyć; ty co w Warszawie mieszkasz, spytaj się téż: kto to powiedział panu Korzeniowskiemu, że ładna ośmnastoletnia dziewczyna jak przez jeden wieczór porozmawia z młodym mężczyzną, to już zaraz ze łzą w oku a z imieniem jego na ustach zasypia? wywiedz no się z pewnością, czy to ma być charakterystycznym zarysem, czy odbiciem miejscowości, czy zdarzeniem szczególném, czy może artystyczną ofiarą poniesioną przez autora na poparcie i wyprowadzenie tego sensu moralnego, iż zawsze każda córka najniedorzeczniéj się zakocha jeżeli się zakocha bez pozwolenia swéj mamy?— Raz jeszcze cię proszę, wywiedz się i mnie donieś, żebym wiedziała czego się trzymać w téj mierze, bo jeźli to charakterystyka—młodéj ośmnastoletniéj kobiety—no to przecież ujmij się w imieniu wszystkich, które miały kiedyś i które dziś mają po lat ośmnaście; z własnych wspomnień, z ogólnego przykładu, wywiedź ich obronę moja droga. Niechaj przecież na słowo pana Korzeniowskiego prowincyonalna młodzież nie uwierzy, tak nad pojęcie prędkiemu skutkowi ładnéj twarzyczki, wymuskanych białą ręką wąsików i od niechcenia rzuconych słówek, jako miód słodkich komplementów a to jeszcze w ucho młodéj dziewczyny, która lat parę w mieście już przesiedziała i nie na jednym balu mogła ich się nasłuchać do woli; oh jest w tém okropna chronologiczna pomyłka, autor wyraźnie antydatował. Gdyby Klarunia była starą panną, brzydką, ubogą, stęschnioną za jedném uczucia wyrazem..... ha! kto wié?...— lecz ty moja droga nie nasuwaj podobnego przypuszczenia.—A może też na Podolu taki zwyczaj jest? może tam się pokochiwają tak nagle przy pierwszém spotkaniu młode dziewczęta z ośmnastą wiosną w sercu, wśród tych mrozów zimowych? Nie śmij się ze mnie, ja z największą powagą przysyłam ci tę wątpliwość do objaśnienia. Ażaliż dziwiło nas kiedy, gdyśmy razem jeszcze Szekspira czytywały, że Julija za swoim Romeo, że Romeo za swoją Juliją tak od pierwszéj

chwili szaleje? Czyż nie jest najwyższą prawdą ów rzut, owe pchnięcię ku sobie dwóch serc gorącą włoską krwią wypełnionych a zwłaszcza w wiekach średnich, w wiekach krwistéj namiętności, kiedy przy towarzyskim rozstępie ledwo czas miało spójrzenie błysnąć gdzie z pod klasztornéj zasłony, z pod maski, z pod przyłbicy.... Ja dziś jeszcze uwierzyłabym takiemu wypadkowi, gdyby mi go opowiadał z Włoch lub Hispanii wracający,—ale z Podola?... nic nie wiem, więc się pytam.... ja nie znam Podola; z innych opisywanych w Spekulancie szczegółów, domyślam się że nie tak bardzo od naszego Podlasia odmienne, dojdźżesz ty sama czystéj prawdy; a teraz wracając się do innych przypuszczeń, jeźli to osobliwość, która autorowi bardziéj od innych do smaku przypadła to już nie moja i nie twoja rzecz śledzić wyboru przyczyny.

Jak żyję lub przynajmniéj jak czytuję romanse, nigdy się nie sprzeczałam z żadnym autorem że mi opisał brunetkę nie blondynkę—śmierć nie wesele—to, nie owo—a proszę cię komużby jeszcze wolność była zostawiona, jeźli mu się to podobało, toć ja nie recenzent, żeby przez pozew pisma peryodycznego krzyczeć nad głową: – a czemu ci się to podobało panie autorze?—Lecz słuchaj, jeźli to ma być zwrot do sensu moralnego o posłuszeństwie córki i rodzicielskim wyborze... to aż mnie strach bierze czy mi popędów ku emancypacyi nie zarzucisz, lub o gorsze jeszcze nie posądzisz zasady, lecz jak mamę kocham, ja od mamy słyszałam właśnie, że to na czas w którym żyjemy, jest przestarzałą nauką.—Mama powiada, że chce tak córki swoje wychować, aby im o ile można nieomylność zapewnić a szczęście wolnego wyboru zostawić. — Mama powiada że uczucie jest najwyższą niezależnością, przysięga świętością najwyższą, że jak mama ani kochać sercem swojém, ani przysięgać ustami swémi za dzieci nie będzie, tak też na ich wolę zdaje kochanka i ślub—bo mama z dzieciństwa kształciła w nas córkach wszystkie ku dobremu skłonności,—rozwijała władze sądzenia i ocenienia, a teraz gdy czas użycia tych władz i skłonności już nadszedł, mama utrzymuje że jéj pozostał tylko współudział w złym lub dobrym losie naszym, nierozdzielność szczęścia lub niedoli, ale że prawo samolubnego zabezpieczenia się w naszéj przyszłości według pewnych sobie wiadomych warunków odpadło od niéj.— To

utrzymuje mama nasza, bardzo godna, bardzo szanowana, bardzo moralna jak ją znasz osoba—i któraby pewnie dziecka swojego z postronną miłością w sercu pod obcy dach męża nie wyprawiła—choćby ten mąż był jeszcze lepszy niż Pan Marszałek—a pan Marszałek fikcyją, najzupełniejszą fikcyą podobno—ja w nią wierzę ty w nią wierzysz—lecz mama w nią nie wierzy i nikt w nią nie wierzy i nawet jeden z poczciwych wyraźnie——ale co ja ci piszę, ty czytaj wyraźnie, Pana Marszałka ślamazarnym nazwał.... Mój Boże, jaka to niebezpieczna rada dla młodych dziewczyn, które innego kochają, a za innego idą — niechże się któréj przyśni że Marszałka dostanie——a tu pan Marszałek..... oh! już ja powiedziałam od siebie i ty powiédz wszystkiém młodém znajomém swojém, żeby się na to nie spuszczały—bo pan Marszałek bajką, a życie przykre ciężkie, życie z mężem niekochanym, życie, w którém serce wysycha i żółć wzbiera codziennie, życie z którego umrzéć można, lub w którém starzeje się kobiéta na Imość wystrojoną, na babę złośliwą plotkarkę, znudzoną i nudną, życie takie najnieochybniejszą prawdą — powtarzaj to stokrotnie każdéj panience co Spekulanta przeczyta.—Jeszcze jeden zarzut:—dla czego téż owéj biednéj Klaruni ani matka, ani djabeł kulawy, ani nawet poeta pan Paweł nie wyjaśni zdarzeń, nie opowie szczegółów—tylko dla ochronienia jéj zbolałego serca zostawiają je wszyscy w najwyższéj niepewności — a matka woli zemdleć, niż uzbrojona wszelkiemi dowodami stanąć przed córką i odwołać się do prawości jéj charakteru—do sumienności własnego jéj wyroku.—Mam ciotkę, która przez cały czas naszego czytania, uspokoić się nad tém nie mogła: „Czemu jéj prawdy nie powiedzieli? czemu jéj prawdy nie powiedzieli!"—Przerywała mi nieustannie, aż nakoniec znudzona tém—„a to dla tego,—odpowiedziałam jéj—że gdyby powiedzieli, Klarunia na chwilę dłużéj nie mogłaby pana Augusta kochać, poszłaby może z własnéj woli za Marszałka i romans byłby skończony, kiedy przeciwnie z łaski milczących osób, ma najbardziéj zamujące rozdziały."—Poczciwa ciotka wielkie oczy zrobiła na mnie, ale już zaniechała uwag i pytań, gdyż w istocie, te rozdziały nadciągnioném położeniem sprowadzone, są jedne z najpiękniejszych.—

Gdyby tylko wierzyć w prawdopodobieństwo Marszałka, gdyby wjeżdżającéj do domu jego Klaruni, nie uspokoiła tak łatwo owa piękność sztuk i zjawiającéj się w kształcie bogatego pałacu i smakownym zbytkiem ozdobnych salonów; gdyby to niekoniecznie w samotności zimowéj, niekoniecznie z nudów wybłysnęła pierwsza iskierka prawdziwego uczucia.—Gdyby, o! moja droga—gdyby to i tamto!—my wszystkie kobiety jeszcze z większą wdzięcznością czytałybyśmy spekulanta—dziś czytamy z przyjemnością jedynie, a po przeczytaniu każda z nas dąsa się trochę jeźli nie na dzieło to na autora,—bo autor nie zna kobiety matki, nie zna kobiety córki, nie zna kobiety żony i kochanki. —Autor dla dowcipnego słówka poświęcił nieraz godność naszego charakteru, autor sobie z nas żartuje— w ideał przybrał uległość Chorążyny dla głupiego męża, w zdrożność wolne uczucie Klaruni dla człowieka, o którego niegodziwości bez przekonania na słowo jéj wierzyć każą—a nakoniec przymięszał jeszcze dwa grana próżności miłującéj wystawność i trzy uncye nudów, żeby wesprzeć jéj drugie szlachetniejsze, małżeńskie kochanie—oh! to musi być złośliwy człowiek ten pan Korzeniowski!—Jak co nowego napisze proszę cię bardzo przyślij mi natychmiast.

KRONIKA PIŚMIENNICZA POLSKA.

—

Pamiętniki Nieznajomego, przez J. I. Kraszewskiego. Warszawa, 1846, str. 482.

Pamiętniki Nieznajomego należą niewątpliwie do najlepszych książek jakie się u nas w ostatnich latach pokazały. Treści tego dzieła przytaczać niewarto, bo nie treścią wypadków, intrygą, nie żadnym węzłem dramatycznym praca ta Kraszewskiego zajmuje czytelnika, ale raczéj myślą, uczuciem, jakie są rozlane w całém piśmie. Krytyk mniéj zastanawiający się nad rzeczą, może zarzucić że autor wybrał człowieka pospolitego prawie za bohatéra powieści, zarzucić może, że nie przedstawił nam osoby historycznéj, znajoméj światu, ale uwaga podobna byłaby mniéj gruntowna; bo właśnie my pospolici, niehi-

storyczni, nieodznaczający się niczem szczególnem ludzie, jesteśmy dla siebie najciekawsi, a przedstawienie podobnych nam istot nieodznaczających się niczém szczególném, mających w sobie coś ogólnego, ludzkiego, staje się dla nas bardziéj zajmującą rzeczą, niż obrazy osób pseudo-historyczne, niepojęte po ludzku, ale oderwane od naszego życia potocznego.—Trzeba przyznać, że dotąd prawie nieznane nam życie nasze tak właśnie uważane, jak je Kraszewski uważa—życie ogólne, ludzkie, życie każdego myślącego i czującego człowieka, człowieka (jak to mówią) z sercem i z głową, chociaż zresztą nieodznaczającego się niczem bardzo szczególnem, nadzwyczajnością działania, dziwactw lub talentu jakiego. Każdy podobny *Nieznajomy*, zajmuje nas żywo, bo to krew z naszej krwi i kość z naszych kości, myśl z naszéj myśli, z naszego uczucia uczucie, życie, skłonności i chęci. Może Kraszewski niezupełnie odpowiedział zadaniu jakie rozwiązać przedsięwziął; przyznać wszakże w każdym razie należy, iż sam pomysł piękny jest, bo nigdy niewyczerpany, zawsze świeży. Zarzucilibyśmy autorowi-*Pamiętników*, że niepotrzebnie *wypadki* miesza z życiem wewnętrznem, tą prawdziwą lirą, arfą eolską duszy człowieka—gdyby od autora wolno było wymagać czegóś innego nad to, co napisał; jeżeli jednak dzieło Kraszewskiego jest jakby chwilą przeciągłą, długą chwilą zastanowienia się nad życiem, którego tajemnicę autor, przypominając sobie młode lata swoje, zbadać usiłuje, wypadało odrzucić wszelkie dodatki, że tak powiem zewnętrzne, stronę romansową, epiczną. Czyliż u nas niepodobna napisać książki dostępnéj dla ogółu myślących, nie mieszając do niéj powieści? Zostawiamy odpowiedź czytelnikom, którzy powinni być najlepszémi w tym względzie sędziami. Nie od rzeczy tu tylko będzie zauważyć, że już są przecież u nas czytelnicy, którzy się nie lękają myśli, jak święconéj wody, i szukają jéj niekoniecznie w powieści. Najswobodniejsza forma myśli jest wylewanie jéj wprost, rapsodycznie, urywkowo, jak się w sercu naszém rodzi, a skrystalizowana, skamieniała, pokazuje się w powieści, jeżeli gwałtem wypadki do niéj naciągamy i zamiast całéj świeżości i wdzięku naturalnego życia, przedstawiamy ją w formach stężałych, zdrewniałych, lodowych, gdzie się zaledwie słaby odgłos jéj odbija.

Piosnki Wiesniacze z nad Niemna i Dźwiny, niektóre przysłowia i Idijotyzmy w mowie Sławiano-krewickiéj, z postrzeżeniami nad nią uczynionémi. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego, 1846 str. 134, w dwunastce.

Jest to już szósta książeczka wydana przez Jana Czeczota. Pierwsza, zawierająca *Piosnki wieśniacze z nad Niemna* (szkoda tylko że tłumaczone, nie zaś w oryginale, jak te, które mamy pod ręką) wyszła 1837 r.;—druga *z nad Niemna i Dźwiny* 1839 r.;—trzecia tylko *z nad Dźwiny* 1840 r.; — czwarta z pieśniami i naddnieprowémi 1844 r.;—piąty zaś pieśnioksiąg wyszedł roku zeszłego. Wszystkich piosneczek troskliwie nagromadzonych od r. 1834, jest w tych zbiorkach około 1000. Miło jest takie posiadać zasoby—a miléj jeszcze powitać tak zacnego zbieracza i wdzięczność mu należną oświadczyć. Pisemko ostatnie (o którém piszemy) w przemowie, prócz wzmiankowanego podobieństwa Samskrytu do mowy Słowian, mieści wiele badań nad językiem dawnych Krewiczan. W dalszym ciągu znajduje się Słownik wyrazów krewickich mniéj zrozumiałych (str. 64—68) i zbiór 100 piosnek; nadto niektóre Idiotyzmy (prowincyonalizmy) przepolszczone *własnonazwy*, czyli *szczególniki*, jak chce autor (69—96 str.). W końcu książeczka ta zawiéra: *a*) o podobieństwie języków słowiańskich z Samskrytem, starożytnym Indyan językiem;—*b*) Uwagę dla etymologów i lingwistów (*mówienników*) podług autora;—*c*) Przysłowia krewickie i do świąt zastosowane;—*d*) Szczególne wyrażenia i porównania, mogące się uważać w części i za przysłowia;—wreście wyjątek przysłów z pism Tańskiéj. Dla czego Autor Szanowny, tego tylko jedynego użył źródła?—nie wiemy. Widząc wszakże w całéj pracy sumienność największą i prawość najwyższą, ośmieliliśmy się tę uwagę małą rzucić.

NOWOŚCI.

Wyszły w roku bieżącym Pieśni Ziemianina przez J. Czeczota (drukowane w Wilnie).